

Mateusz Matyszkowicz: Europa potrzebuje Włodkowica

Czy Polacy dołączyli do projektu europejskiego już po tym, jak został ukształtowany przez Niemców, Francuzów i Anglików?



Czy Polacy dołączyli do projektu europejskiego już po tym, jak został ukształtowany przez Niemców, Francuzów i Anglików? Nieprawda. Polacy tworzyli ten projekt, zanim jeszcze niejedyn Niemiec uznał człowieczeństwo osoby innej narodowości i religii.

Europę, w której chcielibyśmy żyć, kształtowali nie tylko John Locke i Adam Smith. Być może nawet więcej niż oni przyłożył się do niej polski uczyony Paweł Włodkowic. Człowiek bardzo niedzisiejszy.

Zapomniany powód do dumy

Paweł Włodkowic jest polską chlubą, której jeszcze nie nauczono się odpowiednio szanować. Co więcej, projekt europejski byłby znacznie bardziej dojrzały i ludzki, gdyby powrócono do myśli tego uczonego. Jak na razie jego piśmiennictwo nie zostało nawet w porządnym sposób zdigitalizowane. Stan popularyzacji myśli krakowskiego kapłana jest poniżej poziomu jakiegokolwiek krytyki. Czy wyobrażacie sobie państwo, żeby Anglik nie przyznał się do Locke'a? Żeby można było studiować historię filozofii politycznej bez dokładnej analizy niemal każdego akapitu jego dzieła? Nie. A spotkali państwo polskiego humanistę, który przeczytałby choćby jeden rozdział z Włodkowica? Ze świecą szukać. Owszem, o Pawle Włodkowicu uczył się w polskiej szkole niemal każdy. O tym, jak uczonego krakowski pojechał na sobór w Konstancji i tam bronił sprawy polskiej w konflikcie z zakonem krzyżackim. Jednym z jego przeciwników był wtedy Jan Falkenberg, dominikanin, autor satyry, która miała pokazywać skalę bezbożności na ziemiach polskich. Falkenberg ciężko odchorowywał klęskę wojsk krzyżackich pod Grunwaldem i w ramach odreagowania zawiózł biskupom tekst, w którym obrywało się Polsce za sojusz zawarty z poganami i walkę przeciwko rycerzom Chrystusa. W tle był jeszcze jeden ważny spór o koncepcję Kościoła i model władzy papieskiej. Włodkowic był koncyliarystą, czyli uważał, że papież powinien podlegać biskupom zebranych na sesji soborowej. Falkenberg zaś o wiele bardziej podkreślał papieskie jedynowładztwo, zwłaszcza w sprawach doktryny wiary i tępienia herezji. Pod tym względem Włodkowic i większość polskiej delegacji (poza biskupem Trąbą) musiał uchodzić za liberała tamtych czasów, skoro nie tylko wzywał do poskromienia apetytów krzyżowców, ale i opowiadał się za dialogiem z husytami. Niezwykłość Akademii Krakowskiej tamtych czasów polegała między innymi na tym, że odbywały się na niej dysputy krakowskiej profesury z ludźmi, którzy umieszczani byli poza granicą Kościoła

katolickiego. Włodkowic odniósł umiarkowane zwycięstwo w czasie soboru. Jego koncepcje jednak zaważyły na historii Kościoła. Prawdopodobnie gdyby nie on, to ponad wiek później Kościół nie broniłby człowieczeństwa ludów, które spotykali na swojej drodze kolonizatorzy. Tak wygląda historyczna rola krakowskiego uczonego. Z pewnością możemy się nim chlubić i dbać o jego promocję. Ale jego rola nie ogranicza się tylko do historycznych sukcesów. Prawdopodobnie nadchodzą czasy, gdy doktryna Włodkowica i jego pojęcie prawa narodów staną się szczególnie potrzebne. I to w kilku wymiarach.

Powrót do źródeł

Poniekąd bowiem Paweł Włodkowic idealnie nadaje się na patrona Unii Europejskiej – ale tej bliższej koncepcjom ojców założycieli niż dzisiejszych luminarzy europejskiej polityki. Włodkowic opowiadał się za pokojowym współdziałaniem narodów, nawet za prawem społeczności do narodowego samookreślenia, jego pojęcie narodowości było zatem o wiele płynniejsze niż to, które odziedziczyliśmy po wieku nacjonalizmów. Ale jednak za prawem do samookreślenia się w kwestii narodowej szło u autorów klasycznych także prawo narodów do prowadzenia samodzielnej polityki w ramach pewnych uniwersalnych zasad zwanych prawem naturalnym. Poddanie samodzielnych grup narodowych uniwersalnym prawom miało chronić te mniejsze przed zakusami większych. Ta koncepcja tylko pozornie należy dziś do intelektualnego mainstreamu. Pozornie, bo nastąpił cichy konsensus co do natury polityki – powszechne założenie, że prawo międzynarodowe jest tylko sztafażem, za którym kryje się prawdziwa gra interesów i że każde państwo realizuje je bezwzględnie nawet za cenę naruszenia norm, które w tradycji europejskiej uchodziły za moralne. Oddzielenie polityki od moralności i prawa stanowionego od prawa naturalnego, oddaje narody we władzę polityki, która nie uznaje żadnych granic

swojej wszechwładzy. Zwróćmy choćby uwagę na to, że to, co kiedyś nazywało się etyką społeczną czy też zwykłą kulturą relacji międzyludzkich, dziś jest redukowane do tzw. politycznej poprawności. Nie moralność, a poprawność, i to poprawność polityczna. Na jej straży coraz częściej stają politycy i naciskające na nich lobbies, którzy za pomocą regulacji prawa stanowionego chcą dokonywać zmian w mentalności całych społeczeństw. Jest to pewna forma powrotu do cesaropapizmu. Tylko że papież nie jest już katolicki, a cezarem staje się dominująca klasa polityczna. Społeczeństwa – jak to się mówi – „uwolnione” spod władzy religii i zgodnej z nią moralności coraz bardziej podlegają władzy politycznej i żadna inna władza nie jest w stanie jej się przeciwstawić. Widać to, gdy patrzymy na prawa narodów. Ich interpretacja zależy dziś do sposobu, w jaki ułoży się kilka dominujących mocarstw, i tego, jak rozłożą się ich interesy. Narody będą interweniowały w obronie innych, ale tylko wtedy, gdy te większe zrealizują swoje interesy.

Potomkowie Krzyżaków

Włodkowic ze swoimi tezami uchodziłby dzisiaj za szaleńca, romantyka, marzyciela... Ale to tacy ludzie w poprzednich wiekach stanowili o sile Europy. By wskazać jeszcze jeden przykład: pięć wieków przed Włodkowicem grupa szalonych mnichów benedyktyńskich związanych z Cluny upowszechniła zwyczaj Pokoju Bożego, czyli dni wolnych od wojny. Wbrew wszelkim realistom tamtych czasów. Ale Włodkowic wart jest przypominania z jeszcze jednego powodu. Jego doktryna, zgodnie z którą nie wolno siłą narzucać religii, wiązała się kilka wieków temu z uznaniem podmiotowości narodów pogańskich. Dziś mamy sytuację odwrotną. To chrześcijanie stają w pozycji tych, którzy muszą bronić własnej podmiotowości i prawa wyznawania swojej religii. Jeśli zarzuca się wiceministrowi, że napisał kiedyś książkę z nielubianym przez mainstream biskupem, jeśli kwestionuje się prawo

chrześcijan do publicznego wyznawania swojej wiary, choćby przez noszenie w widocznym miejscu symboli religijnych, to widzimy, jak bardzo naruszane są standardy, o które kiedyś walczył Włodkowic. Kiedy zatem w naszych czasach walczymy o pamięć na temat Włodkowica, to także uznając go za patrona wolności religijnej. Ale wolności rozumianej inaczej, niż to się sugeruje. Włodkowic bowiem nikogo nie uwalniał od religii, jak to próbują teraz robić niektóre nurty polityki europejskiej, ale dawał człowiekowi prawo do wyznawania religii. Wolność od religii wprowadzana za pomocą polityki państwa oznacza ingerencję w sumienia obywateli. Wolność do religii pozwala za to na nieskrępowane wyznawanie i bronienie własnej wiary – także wbrew politykom. Pamiętajmy, że to wcale nie władza biskupów jest tyrańska. Tak naprawdę tu na ziemi mogą oni niewiele ponad publiczne napomnienie. Prawdziwie niebezpieczna jest władza polityków. To oni bowiem mają monopol na aparat przymusu. Nie ma co rozgadywać się o przemocy symbolicznej, gdy na drugim krańcu jest przemoc w sensie dosłownym. Potomkowie Krzyżaków zaś krzyży już nie noszą.

Mateusz Matyszkowicz

Tekst ukazał się W Gazecie Polskiej Codziennie